

Kronika tygodniowa.

Sądzę, że chyba potrafiłem poprzednią kroniką zadowolić tych, którzy kilkakroć wyrażali swoje życzenia, bym częściej dawał nurka w odmęty polityki. Kosztem aprowizacyi, na którą mi miejsca nie zostało, omówiłem najważniejsze kwestye, o mniej i więcej ogólnem znaczeniu, a nie moja w tem wina, iż sprawa kocia wysunęła się na pierwsze miejsce. Spotkał mnie też za to i dowód uznania, otrzymałem bowiem onegdaj wonny liścik (na różowym papierze), w którym nieznaną mi bliżej z nazwiska i miejsca zamieszkania jejmość stwierdza, że jako przyjaciel kociego rodu muszę być też i zacnym człowiekiem, gdyż dowiedzionem jest doświadczeniem wiekowem, iż miłością ku nim odznaczają się tylko szlachetne dusze, gorące serca i wzniosłe nmysły.

Aż podrośłem, naturalnie we własnych tylko oczach, gdy się dowiedział o zaletach, jakimi się odznaczam, choć kłam zadaje temu moja karta legitymacyjna pospolitego ruszenia, wykazująca, że od nbieglego roku skurczyłem się o jeden centimetr. Gdy przy poprzednim „musterunku“ liczył na wysokość aż sto sześćdziesiąt i ośm centymetrów, w roku bieżącym zanotowano tylko sto sześćdziesiąt siedm, co jest rzeczywistym dowodem, iż z „żywej wysokości“ utraciłem cały jeden centimetr, wobec czego jestem w kłopotcie, gdyż, jeżeli się w tym samym stosunku powtórzy to i przy następnych „musterunkach“, za sto sześćdziesiąt siedm lat nic ze mnie nie zostanie. Chyba, jeżeli się wojna wcześniej skończy i przeglądy ustaną, a ja *eo ipso* stracę sposobność przekonywania się w drodze urzędowej, czy zyskałem na wzroście, czy też straciłem.

Wspominam zaś o tem głównie z tego powodu, aby Szanownej Korespondentce ze Lwowa, która domaga się koniecznie, aby Redakcja pomieściła już raz podobiznę kronikarza na swych szpaltach, dać bodaj w przybliżeniu obraz mej postaci, która, powiem prawdę, ani z przodu, ani z tyłu nie przypomina bynajmniej Apollina. Mierzę więc na wysokość, jak się wyżej rzekło, centymetrów sto sześćdziesiąt i siedm, oczy posiadam, jak jedni twierdzą, niebieskie, inni bure, a jeszcze inni niezdecydowanego koloru, nos proporcjonalny (zupełnie jednak wystarczający na własny użytek), poszycie głowy mam, gdzie nie świeci łysina, ciemne, wąsy zaś, składające się z trzech włosów w siedmiu rzędach. To są dane urzędowe, stwierdzone pieczęcią magistratu krakowskiego w mem „Potwierdzeniu osoby i zgłoszenia się“. Zanim więc nadarzy się sposobność opublikowania mej fizyognomii na łamach naszego pisma, co może mieć miejsce z okazji jakiego jubileuszu lub rodzinnej uroczystości (n. p. złote wesele), ciekawa Lwowianka, o ile jest domyslną i posiada dość fantazyi, może sobie już wyrobić sama obraz mej postaci, która, powiem nawiasem, nie na tem nie straci, choćby ją kto zasmarował nawet smolą (jak to miało miejsce niedawno na wystawie w Sułkennicach), zwłaszcza, że „pech“ prześladowuje mnie stale od samego urodzenia i jemu tylko zawdzięczam, iż jestem kronikarzem, a nie milionerem. Szelma bocian, niosąc mnie na ten świat, pomylić się musiał w adresie.

Równocześnie narzeka owa pani na chleb lwowski, iż jest kwaśny, a tem samem do krakowskiego podobny, co jest zresztą rzeczą bardzo słuszną, gdyż nawet nie wypadałoby, by Lwowianom lepiej się powodziło niż nam. Jeśli mamy cierpieć, cierpmy wszyscy razem, wspólne cierpienie znosi się daleko łatwiej. To jedno jest dobrem, iż nie wiemy przynajmniej z czego nasz chleb się składa, gdy natomiast Warszawiaczy są w tym kierunku już dokładnie uświadomieni. Według rewelacyi wtajemniczonego w *arcana* piekarskiej sztuki, na sto funtów masy, służącej do wypieku chleba warszawskiego, przypada: maki dwadzieścia cztery i pół funta, kaszuby siedmnaście funtów, żółtzi czterdzieści funtów, łobu dwadzieścia jeden, trocin sześć, kory drzewnej dwanaście, otrąb dwa i pół, miazgi kartoflanej cztery. Jak z tego wnosić można, chleb ów musi być bardzo pożywny, stanowczo bowiem dłużej leży w żołądku, niż zwyczajny, przedwojenny, na który nieraz tak się narzekało. Kłui nas w zęby, a teraz wspominamy go z taką lubością.

Zapytywałem jednego z krakowskich piekarzy o skład chemiczny naszego pieczywa, zasłowił się tajemnicą nrzędową, której mu zdradzać nie wolno i dobrze zrobił, gdyby bowiem powiedział prawdę, odebrałby człowiekowi resztę apetytu.

— Nie pytaj pan, z czego się składa — tak zakonkludował — ale bądź pan kontent, iż wogóle jest, łatwo bowiem może się zdarzyć, iż go pewnego dnia zupełnie braknie. Magistrat wydziela coraz mniej maki, choć coraz więcej obiecuje, a z samych trocin, choćby

się było i najlepszym fachowcem, chleba się nie wypieczę!...

Przyznałem mn najzupełniejszą rację, gdyż spieczyłem na doroczną uroczystość „lajkonika“, w której od lat biorę czynny udział, jako jeden z ciekawych, czy się zmienił, czy nie. Niewiele brakowało, a byliśmy zmuszeni obejść się bez tej ludowej uroczystości, jak się obchodziliśmy bez opery i wyścigów, a powoli przyzwyczajamy się i do obchodzenia się bez jadła i napoju, gdyż obywatel Nalepa, pełniący funkcje „Tatara“, służy obecnie w pospolitem ruszeniu, a nikt tak po mistrzowsku, jak on, nie potrafi bębnić pałką po grzbietach Krakowian i nadobnych Krakowianek. Na szczęście otrzymał urlop i sytnacya uratowana!

W tryumfalnym pochodzie przeciągnął „lajkonik“ z Półwsia na Rynek, odwiedził Wentzla i Hawelkę i powrócił znów na przedmieście, by zamienić chałat tatarski na mundur austriackiego pospolitaka. Ale naród miał frajdę, a to grunt, najbardziej zaś cieszył się pono ów jegomość, któremu w ścisku wyciągnięto z kieszeni pugilares z kilkoma tysiącami koron. Ten będzie pamiętał „lajkonika“ długie lata i przy najbliższej sposobności postawi z pewnością wniosek, iż najwyższy już czas, by zerwać z dawnymi tradycjami, które go tak wiele kosztowały.

Inny pan narzekał znowu, iż ciekawa gawiedz po-deptała mu nogi, ale o to się nie gniewa, gdyż cierpienie jest udziałem każdego człowieka, a co się cierpi tutaj, to odliczonem zostanie w życiu przyszłym. Żal mu tylko nowych, nieskazitelnie białych trzewików, o podeszwach z bawolej skóry, które również srogo ucierpiały. Sam sobie jednak winien, nie trzeba się było pchać między gawiedz. Zresztą magnezją dadzą się doskonale wyczyszczyć.

Ja wyszedłem natomiast zupełnie bez szwanku, wybrałem sobie bowiem wygodny a bezpieczny odcinek, skąd, nie inkomodowany przez nikogo, mogłem cały przebieg uroczystości dokładnie obserwować. Gdzie byłem, nie zdradzę, bojąc się, by w przyszłym roku inni ciekawi nie chcieli pójść w me ślady, na czem wyszedłbym sam najgorzej, tracąc wygodny punkt obserwacyjny.

Gdyby to odemnie zależało, korzystając z obchodu „konika“, urządziłbym na Rynku krakowskim plebiscyt, w którym każdy mógłby się oświadczyć, czy sobie życzy wojny, czy pokoju. Jestem pewny, że prawie wszyscy głosowaliby za pokojem, zwolenników wojny byłaby znikoma jeno liczba, a i tych kazałbym „lajkonikowi“ przepędzić na Kazimierz, gdzie mają magazynowane towary i czekają na dalszą jeszcze zwyczajkę cen. Nic też dziwnego, że nradowała się ich dusza i serce, gdy wyczytali, że jakiś tam polityk niemiecki utrzymuje, iż wojna potrwa jeszcze przynajmniej trzy lata, a to im zupełnie wystarczy, by tymczasem mogli wysprzedać swe zapasy. Owemu politykowi, gdybym nawet znał go osobiście, lub choć wiedział, jak doń list zaadresować (najlepiej atramentem!... przyp. zecera), napisałbym krótko, a węzłowato: „Bodajżeś w konia wlał!... Za twe gadanie niechaj ci wyrośnie pypeć na języku“.

Jeżeli by bowiem miała się spełnić jego przepowiednia, to nie pozostaje nic innego, tylko już dzisiaj „wyewakuować się“ z tego świata!... Ale w jaki sposób? spyta kto może... Hm!... Na to trudno odpowiedzieć. W łeb sobie nie strzelisz, gdyż broni palnej mieć ci nie wolno, otrucie także wykluczone, zamiast bowiem arszeniku, cyankali lub strychniny otrzymasz, co najwyżej, jakiś lichy snrogat, o powieszeniu ani mowy, gdyż sznurek, zrobiony z papieru, nie wytrzyma ciężaru twojego cielska... Pozostaje rzucenie się z trzeciego piętra na bruk, lub utopienie we Wiśle, gdyż Rudawa jest zbyt płytka. Ale i tu czekają cię trudności. Skacząc z okna lub dachu, zanieczysz nalicie i narazisz się na odpowiedzialność wobec władz miejskich, które czystości na nlicach i placach tak pilnie przestrzegają. Chyba więc jedna Wisła pozwoli w swych nurtach zapomnieć o wszystkim, co ci dolega i co cię gryzie... Pędzisz więc nad jej brzeg, ale zastajesz już całą gromadę obywateli różnego wieku i płci, których ta sama myśl przywiodła tutaj, co i ciebie... A wśród nich nwijsa się władza bezpieczeństwa, ustawia ich „w ogonek“ i głosi:

— Proszę stawać w szeregu!... Kto wcześniej przyszedł, pierwszej skoczy!...

I tak każą ci czekać i tutaj na swą kolej, więc łatwo być może, że się rozmyślisz i wrócisz pod swój dach, by dalej klepać biedę i czekać, kiedy się ta wojna skończy... Bo chyba wieki trwać nie może. Minęły już te czasy, gdy miano ochotę bić się siedm lat, lub nawet trzydzieści. My, po trzech latach, powiemy z przyjemnością *pas!* To tylko bieda, iż nie wolno się tak wygadać, jakby człowiek chciał, łatwo bowiem zdarzyć się może, iż, kronika zachoruje na tyfus plamisty, na co coraz częściej zapadają nasze pisma codzienne, podające sprawozdania z sesji parlamentarnej. Posłowie mówią swoje, cenzura robi swoje, czytelnicy zaś mają

tę pociechę, iż się mogą tylko domyślać, co też mogło być, a raczej miało być w tem miejscu, które teraz jest tak straszliwie białe... Ale też na tem właśnie tle powstają najdziwniejsze przypuszczenia, prawdziwe „opowieści Hoffmanna“, które, „na ncho“ podawane, z każdą minutą rosną coraz bardziej i przybierają coraz fantastyczniejsze kształty. Niema dnia, (chyba wtedy, gdy knajpki zamknięte), by na światło dzienne nie wyfrunęła jakaś sensacyjna wieść: ultimatum, koniec wojny, odrębny pokój... mieszają się ze sobą, nieczem szkiełka w kalejdoskopie. Czy zatem nie byłoby lepiej i wygodniej, gdybyśmy wiedzieli, jak sprawa naprawdę stoi? Wówczas musiałoby wiać w łeb i owo polityczne bajczarstwo, które się w ostatnich czasach tak rozrosło. Są ludzie, i to na stanowiskach urzędowych, którzy nważają sobie za punkt honoru wymyślanie i puszczanie w świat najnieprawdopodobniejszych wieści i ogromnie ich to cieszy, że inni tacy naiwni iż na ślepo im wierzą. A potem, choć stało się zupełnie inaczej, niż przepowiadali, biorą się z uroczystym gestem pod boki i powiadają:

— A co?... Nie mówiłem?... Tak się przecież stać musiało!

Dla takich osobników wymyśliłbym specjalną karę: przybicie gwoździem za język do specjalnej baryery, nstawić się mającej kosztem miasta na krakowskim Rynku. Ale obawiam się, że Rynek okazałby się może zbyt mały, wobec czego proponuję przeniesienie jej na Błonia, ale dopiero po wykopaniu tych ziemniaków, których jeszcze przeważnie nie zasadzono, gdyż zamiast do Krakowa, pojechały gdzieindziej. Gdyby ktoś przed laty powiedział komuś, że będziemy kiedyś zmuszeni sprowadzać ziemniaki na własny użytek z Holandyi, gdy my tego artykułu innym krajom dostarczaliśmy, byłby się wysmiał w oczy i zapytał: „Kpisz, czy o drogę pytasz?“... A jednak doszliśmy do tego i bardzo będziemy zadowoleni, jeśli je otrzymamy, bo zwykle tak się dzieje, że, nim dojdą do Krakowa, po drodze znajdują się na nie amatorowie. A aprowizacya z dnia na dzień staje się coraz trudniejszą, gdyż różnego rodzaju centrale jakby umyślnie starają się o to, byśmy dostawali wszystkiego jak najmniej i mieli powód do narzekania. Na dobitkę ściągają do Krakowa coraz to nowe władze (w najbliższym czasie Rada Szkolna krajowa), warunki więc stać się muszą tem samem jeszcze uciążliwsze.

Jedno jedyne masło w ostatnich czasach podobno potaniało, ale cóż nam z masła, jeśli brak chleba? Nikt chyba nie nwieży, że za bochenek jednokilogramowy, przywieziony z Królestwa, żądają dziesięć koron, a za zwykłego komisiarza, któregoś dawniej dostał za szóstkę, trzy korony! I są tacy, którzy tyle chętnie płacą i jeszcze są zadowoleni, że mogli dostać.

I bądź tu syty, a to jest przecież konieczny warunek, jeśli się chce mieć dobry humor, a tego każdy od kronikarza wymaga! A cóż on, biedny, ma począć, gdy różne ciosy godzą weń z różnych stron, z góry i z dołu, z przodu i z tyłu... Ot! Świeżo znowu rozeszła się smutna wieść, która w bezden rozpaczę pograżyła wszystkich piwoszczów, iż browar mieszczański w Pilźnie, owo źródło, z którego ciekło piwko marki B. B., przemieniają na fabrykę wody sodowej! To już prawdziwa profanacya i poprostu igranie z naszymi uczniami! Ale temu może winni i nasi panowie restauratorzy, którzy nieraz nie żalowali wody sodowej, by dodać piwn... aniumszi! Może to jednak zwykła kaczka dziennikarska... tak powiada niejeden, opędzając się zwisającej nad nim, niby czarny kruć, rozpacz.

Parlamentowi naszemu, raczej jego obradom, postanowiłem w swoim czasie poświęcić osobną kronikę polityczną, na razie ograniczyć się muszę do krótkiej wzmianki o bardzo nieparlamentarnem i niepolitycznem wystąpieniu posła niemieckiego Heinego (z grupy „śłodkiego“ Wolffa), który odezwał się w ciągu dyskusyi, iż „w Galicyi jeszcze zbyt mało wieszano“. Jak nas zwłaszcza Wszechniemcy kochają, wiemy o tem od dawna, pan Heine zbyt się dał jednak unieść szwinnizmowi, za co, niestety, nie spotkała go zaraz zasłużona nagroda, która byłaby ostrzeżeniem dla innych, co ich czeka za podobne napaści. Prezydent przywołał go wprawdzie do porządku, koledzy starali się go wytłumaczyć, a poseł Daszyński dał mu należytą odprawę, ale to wszystko zamało, tak jak zbyt łagodnem było scharakteryzowanie postępków przez posła Steinhausa, który nazwał go: bezgraniczną podłością... Rozum, to dobra rzecz, ale trzeba go mieć, a Pan Bóg karze często ludzi w ten sposób, że im rozum odbiera. Widocznie poseł Heine musiał dużo nabroić.

Z drugiej jednak strony jestem pewnym, iż nie tylko pan Heine, ale i inni Niemcy byłiby bardzo zadowoleni, gdyby wywieszano wszystkich mieszkańców galicyjskiego *Bärenlandu*, więcej bowiem zostałoby dla nich do jedzenia, a oni tylko swój brzuch mają na względzie i w jego imię tak zawzięcie walczą!...

